

Jeszcze o języku krytycznym

W jednym z ostatnich, zawsze pobudzających do myślenia, felietonów ujął się kJw za atakowaną w języku krytycznym metaforą. Obrona odbywała się na dwóch liniach:

- 1) w aproksymatywnym języku krytyki metafora jest nie do uniknięcia;
- 2) umiejętnie użyta metafora zapewnia lakoniczność i obrazową precyzję.

Najpierw pewne uzupełnienie w sprawie drugiej. Byłoby nierozsądnie wyrzekać się metafory. Ale wydaje mi się, że ten skrót myślowy jest wygodny i celowy tylko w pewnej funkcji. KJw powołuje się na Irzykowskiego: „Kiedy Irzykowski napisał przed laty o bohaterach Żeromskiego, że mają dziury wybite w duszach, a do dziur założone rury wiodące wprost do rezerwuarów autora – w tym obrazie zawarł materiał wielu późniejszych i bardzo uczonych studiów”. To prawda, ale właśnie owe „bardzo uczone” studia pokazały, że sprawa nie przedstawia się tak prosto, jak pisał Irzykowski, że wśród bohaterów Żeromskiego można wyróżnić „media”, „partnerów” i „sobowtóry”. Któż by protestował przeciw tym metaforom? Tutaj występują one w swej funkcji właściwej (w języku krytycznym): jako skróty rekapitulujące uprzednią argumentację. Natomiast najtrafniejszej nawet metaforze krytycznej pozostawionej w izolacji zawsze grozić będzie podwójne niebezpieczeństwo – uproszczenia i deformacji.

Ale to sprawa uboczna. Uwagi bardziej zasadniczego charakteru nasuwają się w związku z argumentem pierwszym: „W aproksymatywnym języku krytycznym metafora jest środkiem nie do uniknięcia”. Dopowiadając to zdanie kJw, trzeba uznać, że metafora – mimo wszystkich swych zalet – jest, jeśli już nie złem koniecznym, to w każdym razie jednym z tych niedociągnięć krytyki, które w miarę doskonalenia się metod badawczych będą zanikały. Cokolwiek można by zarzucić krytyce dwudziestolecia, jedno należy jej przyznać: w dużej mierze starała się o jednoznaczność swych sądów, o uściślenie języka, korzystała ze zdobyczy nauki o literaturze. Stan współczesnej krytyki literackiej nasuwa obawy, że pod tymi względami raczej cofamy się, niż idziemy naprzód. W historii nie ma absolutnych powrotów, więc wbrew obawom krytyka z „Pokolenia” nie powtórzy się także młodopolska krytyka impresjonistyczna, ale czy nie zdążamy znów do nieskrępowanego, uchylającego się od wszelkich sprawdzianów subiektywizmu? Objawy są liczne. Mówić o przeroście metaforyki to za mało. Współczesna krytyka przecież – alegoryzuje. Przykład: „Granica, o której mowa, w zasadniczej swej postaci ustaliła się wcześniej, nim pojawił się jakikolwiek artykuł o »nowym realizmie«, wcześniej, nim wyszła z druku pierwsza książka powojenna. Nie wytoczono jej palikami i taśmą mierniczą. Wybuchła sama, niby górotwórcza erupcja, z głębi sześciu wojennych lat – i usadowiła się twardym grzbietem na przekór ludzkim upodobaniom, przyzwyczajeniom i nałogom. To nowe pasmo górskie zmieniło gruntownie »fizjografię literatury«: powstał nowy jak gdyby dział wodny, pozostawiając zresztą pisarzom i ich książkom

wolną wolę wyboru – którą stroną stoku pragną popłynąć”. W dalszym ciągu autor charakteryzuje stary i nowy stok, przy czym dowiadujemy się np., że ten ostatni, „tajemniczy i nieznany, nie obiecuje zwolennikom bezpiecznych portów. Nie ma ich jeszcze. Poczęte u jego krawędzi strumienie drążą z mozołem łożyska ku niewiadomym zatokom. Lecz płyną w stronę przyszłości – i to jedno przytakuje z góry ich lepszej racji”. Tutaj recenzent przechodzi do powieści Brandysa, który „zdawał sobie sprawę na pewno, że zakłada swój literacki ogródek na gruncie niebezpiecznym. Istotnie, chcąc, nie chcąc, znalazł się na samym szczycie owego granicznego pasma gór”. Tu jednak napotkał „kamenistą oporność nieprzeoranych jeszcze żadną broną okolic. Opór nie do pokonania dla samotnego amatora pionierki. Trzeba się było trzymać – wbrew woli – znanej gleby i gospodarzyć według przejętych wzorów, za pomocą otrzymanych w spadku narzędzi i przepisów”. Proszę wybaczyć ten przydługi cytat (mniejśza o to, czy; zarówno ten, jak i następne są przypadkowe; opierają się na tym, co podsunęła pamięć i co jest najdostępniejsze; więc na materiale najnowszym, niekoniecznie najcharakterystyczniejszym); trzeba było jednak pokazać, jak rozległa alegoria została rozbudowana. Można ją bez trudności przełożyć na „zwykły” język krytyki, nie straci nic ze swej logicznej poprawności. Czyż więc szata alegorii nie jest tu „motywem czysto zdobniczym”, od którego odżegnuje się kjjw? (Choć niedawno pisał, że do dobrej recenzji potrzeba kilku nowych metafor.)

Druga niepokojąca cecha współczesnego języka krytycznego to świadomy brak precyzji, co więcej – brak starań w tym kierunku. Raz po raz jeden i drugi krytyk cudzysłowem zaznacza, że używa jakiegoś terminu tylko na niby, jakby tymczasowo, zamiast innego – właściwego, celnego, który nie przychodzi mu jakoś pod pióro. Przykłady są niepotrzebne; dostarczy ich pierwsza lepsza recenzja czy artykuł. Funkcja cudzysłowu jest dwojaka: albo wprowadza on, ale z zastrzeżeniem, jakieś nowe słowo z języka potocznego do terminologii krytycznej, ażeby ją odświeżyć, uniezwyklic, albo jest półironicznym odżegnaniem się krytyka od powszechnie przyjętej, a więc utartej, a więc kompromitującej, terminologii. Dziesięć czy piętnaście lat temu krytyk spokojnie by napisał: „Ideologia książki została zdecydowanie podporządkowana prawom zabawy, humorystycznej żonglerce słów – wszystkie jej prawdy toną w nadmiarze werbalnych i stylistycznych ornamentacyj, w dowcipie za wszelką cenę”.

Dzisiaj wyraz „ideologia” czy wyraz „prawda” znajdzie się w cudzysłowie. Szanującemu się krytykowi nie wypada nimi się posługiwać. W modzie jest za to – jeśli wierzyć K. Wyce – tworzywo, deformacja, aspekt i postawa...

Czegóż to wszystko dowodzi? Można znaleźć wspólne podłoże zjawisk, o których była mowa: obawa przed szablonowym sformułowaniem. Krytyka literacka lękając się banału (językowego!), ucieka od wszelkiej konwencji, zapominając, że język ścisły musi być językiem konwencjonalnym. Rezygnuje z precyzji na rzecz ekspresji. Wpadając w grzech, który potępiam, powiem: zdradza naukę o literaturze z poetyką awangardy: „Wyszukana w geście, którym zatrzymuje odpływającego Odysa lub rzeźbi nieistniejący metop – zna ta poezja smak ordynarnej chłopskiej wódki – i ból niespełnionych dążeń polskiego inteligenta...”.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Trudnej, często pionierskiej pracy krytyków należy się pełny szacunek. Nie chodzi tu o przyczepianie się do mniej lub bardziej szczęśliwego stylistycznego zwrotu. Sądzę jednak, że język krytyczny nastawiony przede wszystkim na niezwykłość, a nieliczący się z potrzebami jednoznacznego komunikowania pewnych treści, obniża poznawczą wartość krytyki.

„Czarem pisarstwa Marii Dąbrowskiej jest stan nasycenia. W jej obrazach życia nie ma chorobliwego skupienia drobin; brak też miejsc wiotkich, nieunerwionych. Jej proza jest równo i gęsto tkana”.

„Magia formuły poetyckiej działa sakralną symboliką rytmu, ucisza jego pieczęcią. Czytelnik nie wychodzi naprzeciw tej poezji – wymaga ona przeciwnej postawy: kładzie tylko pieczęcie dokonań i zamyśleń na skończone uczucia, dopełnione myśli. Jej spokój kładzie rękę na ustach czytelnika, każe mu milczeć – i przyjmować”.

W ten sposób można w nieskończoność: zamiast opisywać utwór literacki, pisać wariacje na jego temat. Jedne niewiadome zastępować drugimi. Równanie pozostaje nierozwiązane. Utwór nie zdradził nam nic ze swych tajemnic.

Z dwojga złego wolę już sformułowania typu: „futurystyczny hedonizm połączony z orgazmem witalizmu zakłóca w nim jakiś daimonion niepokoju metafizycznego” (Kołaczkowski o Tuwimie; cytuję z pamięci, więc może coś przekręciłem). Chociaż te dwa bieguny maniery stylistycznej coś ze sobą łączy. Jeden z moich znajomych, człowiek złośliwy i skłonny do uproszczeń, powiada: „zasada metodologiczna” – „Warum einfach, wenn es auch kompliziert geht?”. Może ma trochę racji.

„Odrodzenie” 1947, nr 19. W związku z felietonem kJw (Kazimierza Wyki), *Plamista ślizgawka czyli o języku krytycznym*, „Odrodzenie” 1947, nr 14–15.

Książka o Kochanowskim*

Nawet na tle ogólnego kryzysu polonistyki obecny stan badań nad literaturą staropolską przedstawia się ponuro. O literaturze tej zupełnie u nas głucho. Starsze pokolenie jej badaczy przerzedziła śmierć – odszedł niedawno Stanisław Łempicki – niektórzy zwrócili się ku innym terenom historii literatury (St. Adamczewski, J. Krzyżanowski). Następców, z małymi wyjątkami, nie widać. Ukazanie się znakomitej pracy Wacława Borowego o poezji polskiej XVIII w. ogólnego obrazu zmienić nie może.

Nic dziwnego, że w takiej sytuacji Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” zdecydowała się na wznowienie znanej monografii Stanisława Windakiewicza o Kochanowskim. Wiele przemawiało za tym wyborem: praca ta zarówno swoimi rozmiarami, jak jasnością i prostotą stylu, ograniczającego do minimum zasób fachowego słownictwa, odpowiada potrzebom szerokiego czytelnika. Niestety, inne przyczyny decydują o jej nieprzydatności jako książki popularnonaukowej.

Ponowne wydania monografii literackich zdarzają się u nas dość rzadko, a wyjątkowo tylko pojawiają się po śmierci autora. Postęp badań naukowych ogranicza ich długowieczność. Ale książka Windakiewicza jest stosunkowo niestara: ukazała się w roku 1930, od tego czasu studia nad Kochanowskim nie posunęły się o tyle naprzód, by zmienić w zasadniczych rysach jego poetyckie oblicze. Tak więc teoretycznie: gdyby sprostować niektóre faktyczne błędy lub chociaż omówić je w przypiskach oraz uzupełnić bibliografię – byłoby wszystko w porządku.

Ale napisało się wyżej – że monografia Windakiewicza pochodzi z roku 1930. To jest jednak tylko metryka księgarska tej książki. Jej metryka historycznoliteracka jest, niestety, o kilka dziesięcioleci starsza. Wszystko to, co w nauce o literaturze nastąpiło po okresie pozytywizmu jakby nie dotarło do Windakiewicza, nie pobudziło go w najmniejszym stopniu do rewizji raz skryształizowanej metody badawczej. Można by ją nazwać metodą filologiczno-biograficzną. Ta dwuczłonowa nazwa oddaje dwoistość stosunku uczonego do przedmiotu badania, tj. dzieła literackiego.

Niekiedy Windakiewicz stosuje rzeczywiście metodę filologiczną: stara się utwór literacki opisać, wyjaśnić zawarte w nim trudności, zbadać okoliczności związane z jego powstaniem, umiejscowić go w historii literatury. I to są najbardziej wartościowe, do dziś niepozabawione aktualności, stronicze jego książki. Analiza stylistyczna *Psalterza*, rozdział o *Trenach* jako pomniku poezji życia rodzinnego należą do najlepszych rzeczy w tym, „co u nas o Kochanowskim pisano”. Niestety, inne utwory omówione są znacznie mniej starannie: jakże często Windakiewicz poprzestaje na streszczeniach (niegorszych

* Stanisław Windakiewicz, *Jan Kochanowski*, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, wyd. 2, Kraków 1947, s. 202 i 2 nlb., i 1 tabl.

i nielepszych od osławionych streszczeń z podręcznika Mazanowskich), do których dorzuca parę stereotypowych komplementów (utwór „prześliczny” albo „zabawny”) lub utyskiwać, że Kochanowski napisał dany wiersz tak a nie inaczej.

Ale Windakiewicz wychodzi poza filologię i to jest najgorsze, najszkodliwsze dla jego czytelników. Poezja Kochanowskiego staje się dla Windakiewicza dokumentem historycznym, obyczajowym, a przede wszystkim – biograficznym. Utwór literacki traci swą autonomiczną wartość i staje się tylko środkiem wiodącym do poznania autora. Przydatność jego dla tych celów urasta do najważniejszego kryterium oceny. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale jest prawdziwe. Windakiewicz omówiwszy obszernie pieśń panny XI w *Sobótce* (bo informuje o żonie Kochanowskiego) i panny XII (bo można z niej poznać jego program życiowy), pisze o pieśniach poprzednich: „Pieśni, które je poprzedzają, zdają się mieć jedynie dodatkowe znacznie niejako dekoracyjne. Powstały one dlatego, aby plastyczniej tamte dwie wystąpiły. Są one czysto dopełniającymi kompozycjami, bez głębszej doniosłości biograficznej, i mówią tylko o tym, jakie rodzaje zakochań znał poeta i jakie typy panięńskie w otoczeniu swym spostrzegał” (s. 127). Przy tym Windakiewicz zapomina zupełnie o prawach fikcji literackiej, o tak silnym w okresie humanizmu elemencie konwencji poetyckiej. Wiersze Kochanowskiego traktuje jako bezpośrednie świadectwo jego życiowych doświadczeń i wierny protokół jego poglądów. Z niezrozumiałą u uczonego naiwnością i zrozumiałym pedantyzmem przenosi w konstruowany przez siebie życiorys i portret psychologiczny poety wszystko, co wyczytał z jego twórczości. Można się nieraz ubawić – mówiąc stylem autora – przy lekturze takich np. fragmentów biografii Kochanowskiego, wysnutych z jego utworów: „Stosunek z Lidią przybierał coraz niepomyślniejszy obrót. Poeta ze strapienia zaczął się upijać, jak w osobnej elegii opisuje (El II, 2). Wreszcie poczał szaleć i ten osobliwy stan psychologiczny upamiętnił w dwu elegiach, które, obok pierwszej z doby upojenia, są najciekawszymi pamiątkami tej studenckiej miłości Kochanowskiego” (s. 32). Albo: „Stosunek do Bezimiennej przyczynił się bardzo do podniesienia nastroju moralnego naszego poety. Nabył delikatności, wzniosłości, zmysłowe porywy przytłumił, i przyswoił sobie pewną powagę, a nawet majestatyczność w wypowiedzaniu uczuć” (s. 99).

Na jakie manowce zszedł Windakiewicz, tropiąc biograficzne szczegóły, dowodem skomponowany przez niego wielki romans poety z Bezimienną – bohaterką polskich erotyków Kochanowskiego. O swojej hipotezie pisze autor co następuje: „Schemat ten przyczynia się do wyjaśnienia, jakie właściwie momenty w przebiegu miłości zdołał Kochanowski ująć i uwydatnić, jakie było jego życie serdeczne w czasach dworskich, zanim się ożenił. Wolelibyśmy oczywiście, aby pod każdym z (...) rozważanych wierszyków można było położyć wiarogodną datę. Ale gdy to niemożliwe, zadowolamy się schematem, który przyczynia się wielce do uplastycznienia zasobów duszy poety” (s. 37–38). Te słowa są bardzo znamienne: ustalenie dat „wierszyków” i spekulacje na temat „uczuciowych zasobów duszy poety” wyczerpują w znacznej części „problematykę naukową” książki. Pointa całej sprawy tkwi jednak w tym, że romans z Bezimienną okazał się fikcją: odkryto, że dwa spośród wierszy tego cyklu są akrostychami, zawierającymi dwa różne nazwiska adresatek. (W nowym wydaniu należało to choćby w przypisku zaznaczyć i nie podawać czytelnikowi informacji bezspornie fałszywych.) A oto dwa jeszcze przykłady tej „wtórnej naiwności filologicznej”, jak ją nazywa jeden ze współczesnych krytyków. Pisząc o miłości Kochanowskiego do Lidii (postać równie nierealna, jak owa Bezimienna), Windakiewicz suponuje: „Miłość to była gorąca i zmysłowa i zmusiła Ko-

chanowskiego do szczegółowych studiów nad elegią starożytną” (s. 30; jak gdyby studia te nie były obowiązkowe dla humanisty XVI w.). Ale już na następnej stronie związek przyczynowy zostaje odwrócony: „Zdaje się, jakoby przy pomocy rzeczywistych przejść poeta chciał zbadać stopień zmysłowości i trafności starożytnych pisarzy”. A więc romans z kurtyzaną jako metoda eksperymentalna w badaniach filologicznych!

Uprzedzam zarzuty: „Łatwo dziś o złośliwość pod adresem starego uczonego. A jego zasługi?”. Nikt nie zamierza tych zasług umniejszać. Chodzi tylko o to, czy wznowienia tego typu, przeznaczone dla szerokiego ogółu, niezrewidowane i nieskomentowane, są celowe. Zapewne dają sporo faktycznych informacji o pisarzu. Ale czy pożytek, który w ten sposób przynoszą, równoważy wyrządzane przez nie szkody? Trudno się dziwić, że wychowany na takiej lekturze tzw. „inteligentny ogół” ma zupełnie opaczne wyobrażenia o zakresie i celach współczesnej nauki o literaturze. Co więcej – że brak mu często podstawowej umiejętności właściwego odczytywania utworów literackich¹.

„Nowiny Literackie” 1948, nr 20.

¹ Na zakończenie dwie informacje: jak wynika z zapowiedzi księgarskich, w druku znajduje się nieznaną dotąd książka Windakiewicza o Słowackim i nowe wydanie jego monografii Mickiewicza, w której tyle ciekawych rzeczy wyczytał niedawno Wacław Kubacki.

Prus pod mikroskopem*

Monografia prof. Zygmunta Szweykowskiego o Prusie jest rezultatem 25-letnich studiów nad pisarzem i jego epoką. Stanowi najkompletniejsze podsumowanie dorobku przedwojennej „prusologii”, choć autor rzadko powołuje się na swych poprzedników. Wzbogaca swą monografię niejednym ciekawym poglądem, np. o związkach *Emancypantek* z okresem modernizmu. Jest ona przewodnikiem po rozległych, rozrzuconych i trudno dziś dostępnych obszarach publicystyki Prusa, o której informuje znacznie lepiej niż książka Ludwika Włodka (1918). Włodek bowiem (pominawszy już fakt, że starał się zaanektować całkowicie Prusa dla obozu prawicy) chciał z jego poglądów wypowiedianych w ciągu lat blisko czterdziestu skonstruować jednolity i harmonijny system i przy tym bez wahania szeregował obok siebie streszczenia i wyjątki z artykułów Aleksandra Głowackiego, wypowiedzi autorskie w powieściach Prusa i słowa jego bohaterów. Szweykowski postępuje znacznie słuszniej, przedstawiając poglądy pisarza diachronicznie, a w oddzieleniu powyższych trzech typów sądów jest bardziej skrupulatny. Wreszcie – niewątpliwą zaletą książki jest jej stylistyczna rzetelność, konkretność, daleka od nieodpowiedzialnego patosu, który nasze pokolenie tak zraża do prac literacko-naukowych, nawet stosunkowo niedawnej przeszłości.

Mimo to wszystko jednak książka w całości nie spełnia wymagań, jakie trzeba dziś stawiać monografii naukowej o wielkim pisarzu.

Tytułem monografii – *Twórczość Bolesława Prusa* – Szweykowski podkreślił ergocentryzm¹ swojej postawy badawczej. Ale należałoby tu mówić raczej o – *ergo* – solipsyzmie. Szweykowski napomyka czasem o związkach literatury z innymi dziedzinami rzeczywistości, ale bliżej się nimi nie interesuje. Jedyne tło – poza małymi furtkami dla biografii i psychologii – na którym umieszcza dzieła Prusa to sąsiadujące z nim czasowo poglądy społeczne, filozoficzne, estetyczne zawarte w jego publicystyce. Oczywiście, byłoby nierozsądnie rezygnować ze światła, jakie poglądy te rzucają na utwory beletrystyczne pisarza, i to pisarza intelektualisty, o silnie rozwiniętej samowiedzy twórczej, o wysokim poczuciu odpowiedzialności społecznej za słowo. Szweykowski posunął się jednak za daleko w swej ufności wobec autora *Kronik tygodniowych*. Aleksander Głowacki zakłada swemu monografiście okulary, przez które ten ogląda powieści Bolesława Prusa, wyznacza problematykę naukową książki. Nie zawsze trafnie: przykładem *Faraon* wciśnięty w prokrustowe łoże teorii o najogólniejszych ideałach życiowych. Z drugiej strony – lojalność Szweykowskiego wobec sformułowanych przez autora intencji

* Zygmunt Szweykowski, *Twórczość Bolesława Prusa*, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, Poznań 1947, s. 313 i 3 nlb. (I), 269 i 3 nlb. (II).

¹ Ergocentryzm – metoda badawcza zajmująca się wyłącznie dziełem, a nie osobowością twórcy.

działa zwraca się przeciw dziełu samemu, bo zuboża jego zawartość. Dyskusja o *Lalce* dowiodła, jak złą przysługę oddawał książce ten, kto dostrzegał w niej przede wszystkim „naszych polskich idealistów na tle społecznego rozkładu”, choć przecież takie określenie wyszło spod pióra autora na pozór najbardziej miarodajnego w tej sprawie. W konsekwencji przepada całkowicie dla Szweykowskiego tak frapujące zagadnienie rozbieżności między poglądami teoretycznymi pisarza a wymową jego dzieła (wyjątkowy wypadek stanowi analiza *Emancypantek*, w których optymizm wykładu prof. Dębickiego zbyt sprzeczny jest z ponurym obrazem życia zawartym w powieści, by można to było przeoczyć). Trudno w związku z tym nie zacytować Georga Lukácsa:

„Naszym zdaniem, nie należy interpretować dzieł wybitnych twórców na podstawie ich teoretycznych wypowiedzi. Ogólnoludzkie znaczenie tych dzieł polega bowiem prawie zawsze na tym, że te spośród konfliktów danej epoki, które w śmiałych, nieustraszonych próbach myślenia osiągają w najlepszym wypadku uczciwie wyrażone sprzeczności – stawiając często »tak« i »nie« bezpośrednio obok siebie, a czasem nawet zastygając na stanowisku to fałszywym, to reakcyjnym – w dziełach osiągają najwyższą dynamikę, możliwą w danej rzeczywistości historycznej.

W większości wypadków jest to coś więcej niż artystyczne ukształtowanie fragmentarycznych myśli. Jest to korekta, którą proces kształtowania rzeczywistości, jej fanatycznie do końca doprowadzone odbicie, a więc ostatecznie sama rzeczywistość, przeprowadza w mylnych tendencjach myślowych twórcy”. (*W poszukiwaniu obywatela*, „Twórczość” 1947, nr 11, s. 73. – podkr. moje.)

Niesłusznie jednak napisałem wyżej, że taka problematyka dla Szweykowskiego przepada; ona dla niego właściwie w ogóle nie istnieje. Autor nie stawia sobie bowiem nigdy pytania, czy i o ile obraz współczesności w utworach Prusa odpowiada rzeczywistości pozaliterackiej, nie mówiąc już o tym, jakie przyczyny wywołały jego deformacje w określonym kierunku. Tu są granice autorskiej lojalności wobec Prusa, który przypisywał literaturze doniosłe znaczenie poznawcze, równe niemal znaczeniu nauki. Szweykowski poprzestaje jednak na tym, że konfrontuje, dokładniej: wykazuje zgodność obrazu powieściowego z konstatacjami publicysty. Dowód jest zresztą wątpliwej wartości: badacz doszukuje się w powieści takiego sensu poznawczego, jaki znalazł w publicystyce, a w publicystyce wybiera te problemy, które podsunęła mu powieść.

Sprawa genezy poszczególnych utworów zajmuje w monografii miejsce skromne. O to nikt by nie miał pretensji do autora, bo problematyki badawczej narzucać nie można. Ale kiedy już Szweykowski stawia hipotezy genetyczne, ogranicza się do wąskiego kółka biografii i psychologii.

Przykład pierwszy: Szweykowski stwierdził i doskonale udokumentował, że około roku 1883 załamuje się wiara Prusa w wartość współczesnego społeczeństwa, na miejscu „rzecowego optymizmu społecznego” pojawia się pesymizm i zwątpienie w postępek. Dlaczego? Autor książki tłumaczy to „chwijną podstawą psychologiczną”, a przede wszystkim niepowodzeniem Prusa jako redaktora „Nowin” (1882–1883). Zupełnie natomiast nie bierze pod uwagę ówczesnej sytuacji społecznej. Początek lat osiemdziesiątych to przecież okres szybkiego wzrostu przemysłu w Królestwie, koncentracji produkcji, a jednocześnie zaostrenia się przeciwieństw rozwoju kapitalistycznego. W latach 1882–1883 przez kraj przechodzi fala konfliktów fabrycznych i strajków. W kwietniu 1883 roku wybuch strajk 8000 żyrdowskich tkaczy. Dochodzi do krwawych zająć. Równocześnie rozpoczyna się gwałtowny kryzys przemysłowy, który trwa do roku 1885.

Na takim tle łatwo zrozumieć dramat „straconych złudzeń” pozytywisty i ostrzeżenia wychowawcy mieszczaństwa w artykule *Co to jest socjalizm*: »Mamy pracę i nędzę, próżniactwo i zbytek, nieświadomość i wyzysk, większą lub mniejszą świadomość swoich praw i niemożność korzystania z nich. Mamy szybko mnożącą się ludność i powolny rozwój środków utrzymania jej. Mamy istoty jednego gatunku, rozdzielone całą przepaścią bogactwa, przywilejów, zwyczajów i oświaty. Mamy – słowem – cały dramat społecznego życia, snujący się od wieków, wikłający się z każdym dziesiątkiem lat«” („Nowiny” 1883).

Przykład drugi: sprawa „nawrócenia” Bolesława Prusa – około roku 1887 ten „fanatyk matematyki i nauk przyrodniczych”, ongi nawet zwolennik materializmu, zwraca się do idealizmu filozoficznego, aprobuje religię. Świadectwem przemiany jest m.in. znany wykład prof. Dębickiego. Szweykowski wyjaśnia tę sprawę w sposób bardzo prosty: przede wszystkim natura Głowackiego miała bardzo zdecydowane skłonności w kierunku „przeżyć religijnych”, jego uczuciowość „skłonna była zawsze do silnych, wstrząsających całym jestestwem porywów” (II, 6). Tak najłatwiej: „Quare opium czynit usypiare? Quia est in eo siła usypiativa”. Szweykowski łączy nawrócenie Prusa z gwałtownym wstrząsem psychicznym, jaki pisarz przeżył, oglądając w roku 1887 zaćmienie słońca. Gdzieś na najdalszym planie dopiero Szweykowski konstatuje, że równocześnie „na Zachodzie... – a potem i u nas – powstała zdecydowana reakcja związana z jakąś tęsknotą do poznania świata nadzmysłowego” (II, 21). Tymczasem tu właśnie, a nie w niesprawdzalnych rozstrząsaniach psychologicznych i nie w zaćmieniu słońca, znaleźć można istotne przyczyny nawrócenia Prusa.

Jeżeli weźmiemy do ręki choćby *Materializm i empiriokrytycyzm*, będziemy zdumieni tożsamością punktów wyjściowych prof. Dębickiego i prof. Ernesta Macha. W *Mechanice* (1883) pisze Mach, że ciała są „kompleksami czuć”, że „nie przedmioty (ciała), lecz barwy, dźwięki, ciśnienia, przestrzenie, czasy (to, co nazywamy zazwyczaj czuciami) są rzeczywistymi elementami świata”. „To, co nazywamy »naturą« jest sumą naszych czuć: wzrokowych, dotykowych, muskularnych, słuchowych” – mówi Dębicki (*Emancypantki*, wyd. 1948, t. IV, s. 263). Dowody? Posłuchajmy najpierw Macha: „Przed nami ciało z ostrzem. Kiedy dotykamy ostrza, doprowadzamy je do zetknięcia się z naszym ciałem, otrzymujemy ukłucie. Możemy widzieć ostrze, nie czując ukłucia. Ale kiedy czujemy ukłucie, znajdujemy drogę. W taki sposób widzialne ostrze jest stałym jądrem, a ukłucie czymś przypadkowym, co zależnie od okoliczności może być albo nie być związane z jądrem. Czy częstym powtarzaniem się analogicznych zjawisk ludzie przyzwyczajają się wreszcie rozpatrywać wszystkie właściwości ciał, jako »działania« wychodzące ze stałych takich jąder i wywierane na nasze Ja za pośrednictwem naszego ciała, »działania«, które właśnie nazywamy »czuciami...». Dębicki: „Człowiek... nieukształcony filozoficznie, mówiąc krótko: »kamień jest ciężki«, wyobraża sobie, że głosi jakąś prawdę bezwarunkową, która istnieje poza nim. Lecz gdy powiemy: »Ja czuję, że kamień jest ciężki«, rozumiemy w tej samej chwili, że dla naszej wiedzy ciężkość kamienia nie jest żadnym objawieniem, ale tylko sformułowaniem stanu naszego czucia” (IV, 262–263). I u empiriokrytyków, i u Prusa silnie podkreślony jest priorytet czucia nad elementami chemicznymi i pojęciem fizycznym. W *Poznaniu i pomyłce* Macha czytamy: „Podczas gdy nie jest żadną trudnością zbudować jakiegokolwiek fizyczny element z czuć, tj. psychicznych elementów, nie można sobie nawet wyobrazić, jakby można było przedstawić jakiegokolwiek przeżycie psychiczne z elementów używanych przez współczesną

fizykę, tj. z mas i ruchów (w tej skostniałości – *Starrheit* – tych elementów, która dogodna jest dla tej specjalnej nauki)”. Dębicki formułuje to oczywiście prościej i idzie dalej: „Jeżeli niepodobna dać ślepemu pojęcia o tym, co znaczy kolor, choćby za pomocą najzawilszych kombinacji dźwięków, zapachów, dotykań, to jeszcze mniej podobna, za pomocą jakichkolwiek ruchów nerwowych, jakichkolwiek procesów fizycznych i chemicznych objaśnić zjawisko czucia. Czućie odsłania przed nami cały świat, ale milion takich widzialnych i dotykalnych światów nie objaśni czucia” (IV, 269).

Ale dość cytaty². Zestawiłem je, nie sugerując bynajmniej genetycznej zależności Prusa od Macha. Z góry zresztą można powiedzieć, że empiriokrytykom i Prusowi patronuje tu wspólny protoplasta Berkeley. Chodziło mi o co innego: o pokazanie związku „nawrócenia” starego pozytywisty z powszechnym nawrotem do idealizmu w filozofii europejskiej lat osiemdziesiątych XIX w., który z kolei łączył się z kryzysem teoretycznym na terenie nauk przyrodniczych. Przerzucmy raz jeszcze kartki *Emancypantek*. Prof. Dębicki powołuje się tam m.in. na Joule’a, Mayera, Maxwella, Williama Thomsona (lorda Kelvina)... Że ów idealizm prowadził nieuchronnie do fideizmu – tę tezę leninowską egzemplifikuje tok wywodów Dębickiego w sposób bardzo dosadny. O ile zaś walka dwóch kierunków wyraża „w ostatecznym rachunku tendencję i ideologię antagonistycznych klas współczesnego społeczeństwa” (Lenin) – to wymaga konkretnego zbadania. Nie jest jednak przypadkiem, że triadę „ziemia, prosty człowiek i Bóg”, zapowiadającą się filozofię *Emancypantek*, powitał z entuzjazmem przyszły ideolog Narodowej Demokracji J.L. Popławski (recenzja z *Lalki* w „Głosie”, 1890).

Wróćmy do monografii Szweykowskiego. Twórczość Prusa analizuje on konsekwentnie według dwudzielnego schematu: w części pierwszej – zreferowanie poznawczej wartości dzieła, w części drugiej – analiza utworu jako „przedmiotu artystycznego”.

Pozostawiam na uboczu tylekroć dyskutowaną sprawę, czy takie izolowanie „treści” (Zygmunt Łempicki pisał kiedyś: „wyciśniętej z książki, jak z cytryny”) i „formy” jest dopuszczalne. Ale cóż z tego, że Szweykowski referuje nam dokładnie, jak Prus widział społeczeństwo polskie poprzez losy indywidualne swoich bohaterów, skoro nie wyprowadza stąd żadnych wniosków o charakterze wartościującym? I jak już zaznaczyłem, wyprowadzić nie może, bo nie interesuje się rzeczywistością historyczną odzwierciedloną w dziele. Wprawdzie w charakterystykach ogólnych nieraz podkreśla typowość i prawdziwość postaci i sytuacji prusowskich, ale – opierając się tylko na jego analizie – są to twierdzenia bez pokrycia.

Część druga to szczegółowa i pieczołowita analiza techniki pisarskiej Prusa, wzorowana na starym Dibeliusie. I tu jednak autor – czy w obawie przed subiektywizmem? – jest bardzo wstrzemięźliwy w sądach wartościujących.

Stąd też pewna niewspółmierność między czysto opisową częścią analityczną a entuzjastycznymi superlatywami charakterystyk końcowych poszczególnych powieści i całej twórczości Prusa. Narzędzia badawcze, jakimi się Szweykowski posługuje, wystarczają, by pokazać ilościowe bogactwo opisanych przez Prusa zjawisk życiowych i stwierdzić nowość i różnorodność jego środków pisarskich. Nie udało się natomiast Szweykowskiemu udowodnić ani poznawczej, ani wychowawczej, ani wreszcie estetycznej wartości dzieł Prusa. Nie udało mu się ukazać jego wielkości. Znika ona w mnóstwie pieczołowicie nagromadzonych szczegółów. Szweykowski bada Prusa przez mikroskop,

² Cytaty z Macha według *Materializmu i empiriokrytycyzmu* Lenina, wyd. IMEL, 1945, s. 28, 30, 34.